

[utopia czy szansa?](#)

Lekarskie społeczeństwo obywatelskie – utopia czy szansa?

Zacznę trochę przekornie, stawiając tezę, dla niektórych może oczywistą, że nie jesteśmy społeczeństwem obywatelskim. Nie spełniamy nawet jego najprostszej definicji, zaczerpniętej z Wikipedii. Według niej, społeczeństwo obywatelskie (cyt.): *„charakteryzuje się aktywnością i zdolnością do samoorganizacji oraz określania i osiągania wyznaczonych celów bez impulsu ze strony władzy państwowej (...) Podstawową cechą społeczeństwa obywatelskiego jest świadomość jego członków potrzeb wspólnoty oraz dążenie do ich zaspokajania, czyli zainteresowanie sprawami społeczeństwa (społeczności) oraz poczucie odpowiedzialności za jego dobro.”*

A teraz zastanówmy się, czy gdyby nie sposób traktowania ze strony rządzących, wciąż zmieniające się ustawodawstwo i notoryczne lekceważenie pracowników w ochronie zdrowia (czyli „impuls ze strony władzy”), mielibyśmy jako lekarze jakikolwiek wspólny mianownik? Śmiem wątpić. W ten sposób mamy chociaż wspólnego wroga, ale o tym później. Idźmy dalej.

Czy mamy potrzebę wspólnoty i do niej dążymy?

Pytanie z kategorii tendencyjnych, bo przecież wiadomym jest nie od dziś, że Kolega czy Koleżanka, nawet najmilsi, to nadal konkurencja i nie należy się przed nimi zbyt wiele odkrywać, żeby przypadkiem, na własne życzenie, za wcześnie nie odpaść z wyścigu.

Czy jesteśmy zainteresowani sprawami społeczeństwa? Może mam krótką pamięć, ale niech ktoś mi przypomni, czy kiedykolwiek lekarze weszli w jakikolwiek protest solidarnościowy z inną grupą zawodową, zabierali głos w sprawach, które nie były stricte związane z ich własnym, małym wycinkiem szarej rzeczywistości ale z punktu widzenia społeczeństwa obywatelskiego były słuszne? Ja nie przypominam sobie takiej sytuacji. I na koniec creme de la creme – poczucie odpowiedzialności za dobro ogółu. Tutaj w ogóle nie ma o czym mówić, jedyna odpowiedzialność, jaką jeszcze jesteśmy w stanie z siebie wykrzesać, to ta za siebie samych i pacjenta. Obecnie, w tej właśnie kolejności.

Zestawmy to, co powyżej z naszą, właściwą każdemu, definicją słowa inteligencja. Słowo, które usilnie od jakiegoś czasu jest w naszym kraju poddawane stopniowej dewaluacji. Jednak w poglądach socjologicznych istniało, istnieje i istnieć będzie. Kto by nie chciał być zaliczony do inteligencji? Przecież tyle razy słyszeliśmy, że stanowimy elitę narodu. Czy aby na pewno? Bycie elitą, inteligencją, to nie przywilej a obowiązek i wielka

odpowiedzialność. Bez inteligencji nie byłoby sukcesu „Solidarności”. Kto nie spał na lekcji historii, ten coś o tym wie, a kto był obserwatorem lub uczestnikiem tamtych wydarzeń - ten wie o tym najlepiej.

Czy dzisiaj możliwa byłaby powtórka z 1980 r.?

Absolutnie nie. Dlaczego? Idealnie ujął to prof. Janusz Czapiński mówiąc, że *„dzisiaj w grę wchodzi interesy, a wtedy oprócz interesów, w grę wchodziły także wartości”*. Dzisiaj każdy sobie rzepkę skrobie. Nieufność pomiędzy ludźmi, grupami zawodowymi i środowiskami jest bardzo widoczna. Z góry zakładamy same najgorsze pobudki działania u naszych adwersarzy. Jesteśmy przesiąknięci wzajemną podejrzliwością. Jesteśmy do bólu egoistyczni, niezainteresowani tym, aby uczyć się współpracy, dzielenia się wiedzą i pomysłami. Inna sprawa, że nikt też nas tego nie uczył.

Sformatował nas system edukacji wczesnoszkolnej, jak i akademickiej. Na końcu sformatowaliśmy się sami, wpadając w koleiny skrupulatnie wydreptane przez naszych starszych Kolegów i Koleżanki przez ostatnie lata. I dużo zależy od tego, gdzie i w jakich okolicznościach przyjdzie nam dojrzewać i funkcjonować, bo dokładnie takie wzorce, slogany, schematy i drogi będziemy powielać. Jeżeli będziemy słyszeć powtarzane jak mantrę na każdym kroku utyskiwanie na jedną konkretną rzecz, instytucję, czy organizację - o szybciej niż później dołączymy do tego chóru, nawet mimochodem.

A dalej to już popłyniemy z prądem.

Czemu tak się dzieje? Bo to najprostsze rozwiązanie. Weryfikacja prawdziwości tego, co słyszymy, wymagałaby od nas zainteresowania i sprawdzenia samemu. Nie daj Boże, poświęcenia swojego cennego czasu, co jest już daleko idąca aktywność.

Od dawna wiadomo, że najwygodniej jest w drugim rzędzie i w swojej własnej, dobrze znanej strefie komfortu, najlepiej tej domowej lub internetowej. I oby nikt się nas nie czepiał i od nas nie wymagał czegokolwiek. Choć prawo do głośnego wyrażania swojego zdania z przyjemnością sobie zachowamy, tak na wszelki wypadek, co by od czasu do czasu rzucić do tych w pierwszym rzędzie parę ciepłych słów otuchy. Trudno takie zachowania i zjawiska nazwać twórczymi. Dużo łatwiej jest antagonizować, napuszczać, podjudzać. Nic nie jednoczy tak, jak wspólny wróg, trzeba tylko go znaleźć i ukierunkować w jego stronę uwagę innych.

To bywa tak samo skuteczne, jak krótkowzroczne. W momencie, kiedy rzeczywistość obnaży półprawdy i okazuje się, że wróg nie jest wrogiem, cała narracja „anty” się rozsypuje, a ludzie rozchodzą na boki, nie wiedząc co ze sobą zrobić. Co innego gdyby zbudować takie porozumienie na wspólnocie wartości i pozytywnych idei. Nie dość, że

pozbawione negatywnych emocji, siłą rzeczy wymusza inne nastawienie, to jeszcze pokazuje, że może trwać niezależnie od zmieniających się okoliczności, bo spoiwem jest pewna myśl nadrzędna. Jest to trudne i wymagające cierpliwości. Każdy wie, że wyburzyć dom (nawet z najsolidniejszymi fundamentami) można nawet w jedno popołudnie. Niestety, równie szybko się go nie odbuduje.

Tak właśnie jest ze społeczeństwem obywatelskim. Nie dość, że nie mamy takowego w kraju, to sami w obrębie własnego środowiska też nie. Powyższe opisy i sytuacje każdy bez problemu dopasuje do swojej rzeczywistości, więc nawet nie muszą rozwijać tych myśli dobitnie i nazywać wszystko po imieniu.

Chcemy jak najwięcej brać, jak najmniej dając od siebie.

Lubimy krytykować innych, samemu tej krytyki się obawiając. Jeżeli ktoś nie jest z nami, to z automatu musi być przeciwko nam. Budujemy swoje „my” nie na własnych dokonaniach, solidnych podstawach, wartościach, przekonaniach, tylko poprzez kontrę do „wy”. Wszystko to dodatkowo odbywa się w głęboko zakorzenionym stereotypie walki o indywidualne interesy.

Zdaję sobie sprawę, że dużo wody w Wiśle upłynie zanim przełamiemy tego typu podejście i myślenie. To jednak musi się stać jak najszybciej, jeśli chcemy pełnić w społeczeństwie taką rolę do jakiej aspirujemy i jeżeli chcemy być wiarygodni. Nikt nie uwierzy w nasze hasła i bezinteresowną walkę o pacjentów, jeżeli w innych sprawach będziemy milczeć. Zrywy społeczne i medialne tylko w sprawach dotyczących ochrony zdrowia nie przysporzą nam sojuszników. A szanse jako grupa zawodowa mamy niepowtarzalną, bo z systemem ochrony zdrowia styczność ma w tym kraju każdy.

Bycie aktywną stroną życia publicznego pozwoli nam także oswajać pozostałych z naszymi zawiłymi problemami. Czy ktoś próbował wytłumaczyć pani w warzywniaku dlaczego 1 czerwca odbędzie się manifestacja lekarzy? Polecam spróbować, bo my ciągle przekonujemy przekonanych. Jesteśmy na etapie, gdzie musimy namawiać własne środowisko, żeby zechciało wziąć udział w manifestacji, podczas gdy - moim zdaniem - powinno to być oczywistą oczywistością, a ten czas spożytkowany na pozyskiwanie nowych partnerów społecznych i rozmowy o poparciu z innymi grupami zawodowymi. Tylko trudno oczekiwać, że ktokolwiek spoza zawodów medycznych do nas przyjdzie, skoro sami do nikogo nie chodzimy i zamykamy się na innych.

Na kanwie tego uważam, że przy całej różnorodności interpretacji i poglądów błędem było to, że nie stanęliśmy z nauczycielami ramię w ramię od początku. Jasno, otwarcie, bez kalkulacji i oglądania się na poprawność polityczną.

Bez dobrego nauczyciela nie będzie dobrego lekarza.

I to oddaje sedno problemu. Nawet jeśli za jakiś czas nauczyciele nie odwzajemniliby tego gestu, to trudno. Ważne byłoby to, że my zachowaliśmy się przyzwoicie. A tak, kolejny raz idea wspólnoty przegrała z chłodną kalkulacją. Przecież jeżeli nauczycielom się uda, to zabraknie pieniędzy na ochronę zdrowia. Jeżeli uda się pracownikom ochrony zdrowia, to zabraknie dla osób niepełnosprawnych. I tak toczy się to błędne koło, a my razem z nim.

Osobiście bliżej mi do myśli prof. Władysława Bartoszewskiego, że warto być uczciwym (także społecznie), choć nie zawsze się to opłaca. Opłaca się być nieuczciwym (grać tylko na siebie i swoje środowisko, kosztem innych), ale nie warto. Mam nadzieję, że w porę wyciągniemy wnioski. Każdą zmianę trzeba zacząć od siebie samego. Lajki i udostępnienia postów są piękną inicjatywą, bezkosztową i naprawdę wzruszającą. Szkoda, że dla wielu są jedynym przejawem poczucia odpowiedzialności za wspólny los naszego środowiska.

Nie oczekuję, aby nagle każdy zaangażował się w działalność na rzecz Koleżanek i Kolegów. Nie wszystkim musi to odpowiadać, nie każdy się w tym odnajduje, nie każdemu musi się chcieć. Mam prawo jednak oczekiwać, że jako przedstawiciele inteligencji i elity, zanim napiszemy kolejny antagonizujący komentarz, wypowiemy ponownie tę samą mantrę, opartą o zasłyszane twierdzenia, zastanowimy się i zweryfikujemy, czy to co głosimy jest na pewno prawdą. A w momencie kiedy trzeba będzie okazać solidarność wstaniemy z fotela, sprzed komputera, wykroimy chwilę czasu w swoim zabieganym grafiku i po prostu będziemy razem.

Zacznijmy wzajemnie budowanie naszego lekarskiego społeczeństwa obywatelskiego, szukając wspólnych mianowników i wartości. Im więcej rąk do budowania, tym szybciej uda nam się osiągnąć nasze cele.

Mateusz Kowalczyk